

Nazwać nienazywalne, czyli o tańcu - Retroperspektywy 2025

Czym jest taniec i skąd pochodzą rodzące go impulsy? Z pierwotnej iskry, boskiego pierwiastka w człowieku, fizjologicznej potrzeby ciała, a może ze skonwencjonalizowanych form, utrwalonych przez tradycję?

„Nie rozumiem teatru tańca” – tak brzmiał tytuł spotkania prowadzonego przez Studenckie Koło Naukowe Teatrologów UŁ, a zarazem redakcję „Tupotu”, festiwalowej gazety Retroperspektyw. Zarówno definicja tańca, jak i odpowiedź na to pytanie mogą się okazać zaskakujące: taniec to każda forma ruchu, tworzona w sposób intencjonalny. A „rozumieć” go nie trzeba, wystarczy poczuć i... pokochać – tak brzmiała konkluzja. Nie trzeba doczytywać i dokładać znaczeń. Oczywiście dla recenzentki to sytuacja niemożliwa, ale spróbujemy połączyć wodę z ogniem, racjonalne z nieracjonalnym.

Uczestnicząc w spektaklach tańca podczas XIV festiwalu Retroperspektywy można było posmakować zarówno tanecznego szału, tempa zwolnionego do granic wytrzymałości percepcji widza, jak i pulsowania dwóch ciał, splecionych w tańcu codzienności, w nieidealizowanym byciu razem. Zaczniemy od tanecznego szału.

W spektaklu „Ich heiße Frau Troffea” białoruski performer Igor Shugaleev obsesyjnie biega w miejscu. Ruch jest jednostajny, męczący dla widza, czujemy zmęczenie, pot. Szukamy w tym ruchu narracji, co okazuje się mission impossible wobec jego przeciągającej się powtarzalności. Wreszcie narrację pozwalają zbudować projekcje ukazujące protesty polityczne na Białorusi. Już wiemy, że to ucieczka przed prześladowaniem, stawianie życia na jedną kartę, podróż w nieznane z małym podręcznym plecakiem. Czujemy bezradność wobec decyzji polityków, na które nie mamy wpływu. To jedna z takich sytuacji, gdy trudno się emocjonalnie oddzielić i podążać tylko estetycznymi tropami spektaklu. Biegając ku korzeniom oglądanego tańca, przerzuceni zostajemy do roku 1518, kiedy to w Salzburgu tytułowa Frau Troffea tańczyła bez opamiętania, zarówno za dnia, jak i w nocy. Aż po skrajne wyczerpanie, do krwi sączącej się z butów. Swoistą „epidemią” zarażała kolejne osoby, niektóre w ekstatycznym pląsie pozostały nawet aż po śmierć. Tajemnicza historia, w której doszukiwano się przyczyn medycznych, pozostaje niewyjaśniona, kulturowo można przerzucać most – od antycznych bachantek po celebrowane w plenerze upojne imprezy rave, do których Igor Shugaleev również się odnosi. Czy można poprzez ruch wytańczyć ból i rozpacz, wypalić je i zacząć od nowa? Tego nie wiemy, ale można się cieszyć, że dzięki samorealizacji przez taniec performer może odnaleźć się w Polsce i realizować takie niebanalne projekty.

W kontrze do dynamiki „Troffei” sytuuje się spektakl „Glory game” w reżyserii Dominika Więcka. Na wysypanej piaskiem scenie, niczym na plaży, pojawiają się nadzy aktorzy, wyglądający niczym antyczni bogowie. Widzimy ich mięśnie, ciała wyrzeźbione wieloletnią praktyką treningu ruchowego. Mężczyźni i kobiety poruszają się hipnotycznie wolno, w grupie, stopniowo indywidualizując swoje sceniczne działania. Cierpliwość widza zostaje wystawiona na próbę, ale tylko przez chwilę, bo to „nic nie dzianie się” staje się wciągające. Zaczynamy obserwować każde najmniejsze drgnienie i delektować się jego subtelnością. Od cenionej w starożytności radości ze wspólnotowego aspektu igrzysk, uprawiania sportu jako wartości samej w sobie i kultu pięknego, naturalnego ciała, powoli przenosimy się do świata sportu zawodowego. Opartego na presji sukcesu, rywalizacji, zindywidualizowanego, aż po współczesne, trudne do uniknięcia gwiazdorstwo sportowych mistrzów i opętanie przekazami zawartymi w mediach społecznościowych. Zostało to pokazane

bardzo pięknie: działania sceniczne stawały się coraz bardziej zindywidualizowane, spod piasku wydobywano części garderoby, które okazywały się strojami sportowymi. Nakładano je jakby z niedowierzaniem, w zabawny sposób, rozśmieszając widownię. Potem nadszedł czas na indywidulane popisy. I tu punkt dla lidera za świetne wykorzystanie predyspozycji zespołu w zależności od tego, jaką dyscyplinę sportu uprawiał/a dany aktor czy aktorka – w tym duchu rozwijano ich scenki. Zyskaliśmy ciekawy, zindywidualizowany ruch, a rozstrzał był szeroki: od gimnastyki akrobatycznej po pływanie w monopłetwie. „Glory game” można po prostu kontemplować, podziwiając umiejętność poruszania się przez cały spektakl w slow motion, można czytać jako nieunikniony upadek sportowych idei aż po symboliczne wygnanie z raju w iskrzącą mediami społecznościowymi współczesność.

Z kolei „Goździk w pustej muszli” uwodził starannie wystylizowaną zwyczajnością tańca. Na scenie zobaczyliśmy parę (Aleksandra Bożek-Muszyńska i Piotr Skalski) w strojach unisex – ciemnych T-shirtach i spodniach. Spektakl rozpoczynali z twarzami ukrytymi w kurtkach, w pozie nawiązującej do rzeźby „Pocałunek” Constantina Brâncușiego, stopniowo oddzielając się od siebie i znów przyciągając. Jak przyznali w pospektaklowej rozmowie, inspiracją był cielesny aspekt bycia razem, nawet tego, jak... przyzwyczajają się do siebie, jak siebie odbierają płuca partnerki i partnera czy ich wątroby. Spektakl opowiada też o tej fazie związku, gdy partnerzy są już całkowicie ze sobą „zrośnięci”, cielesnie i mentalnie, nie wiadomo, gdzie jedno się kończy, a gdzie zaczyna drugie. Symbolicznym gestem jest wymiana T-shirtów ze swoimi wizerunkami, zapewne już nieco przepoconych, bo wymienianych pod koniec przedstawienia. To nie był popis tańca pięknego, nasycającego wzrok tradycyjnie pojmowaną estetyką ruchów, ani perfekcyjnie odtwarzanych kroków. Fachowcy od tańca mieli też zastrzeżenia do zakresów ruchu czy innych aspektów warsztatowych. Dla wielu jednak „Goździk” pozostaje zaskakującą opowieścią o codzienności, miłości nieucukrowanej, nie tańczącej z gwiazdami, ale cieplej, zwyczajnej, czasem zmęczonej, na pewno – ujmującej.

Paulina Ilska

Retroperspektywy 2025: „Ich heiße Frau Troffea” (Sergey Shabohin i Igor Shugaleev), „Glory game” (Komuna Warszawa i Sticky Fingers Club), „Goździk w pustej muszli” (Aleksandra Bożek-Muszyńska i Piotr Skalski).